Odwiedził mnie, w 70. urodziny, przyjaciel z dzieciństwa. A że sprawa wydaje mi się warta wspomnienia, opiszę pokrótce.

Lata dzieciństwa spędziłem na Targówku, przy ul Hutniczej 17 w domu, którego już nie ma od dawna. Jak dawno? Ano, od dnia wyzwolenia Pragi, od 14 września 1944 roku. Ale w swej opowieści muszę się cofnąć jeszcze kilka dni, do dnia wybuchu Powstania Warszawskiego.

Otóż było tak, że pomieszkiwaliśmy na Targówku. I w dniu wybuchu PW żołnierze niemieccy (żadne Gestapo czy inne policyjno-wojskowe formacje) wyciągnęły z naszej kamienicy wszystkich mężczyzn. Okoliczności nie były do końca jasne zważywszy także i to, ze mieszkaliśmy na zadupiu Warszawy, bo nie dość, ze na Pradze, to w dodatku na Targówku zwanym Fabrycznym. I zaciągnęli tych mężczyzn, wszystkich, na sąsiedni (kilkaset metrów dalej) nasyp kolejowy, i rozstrzelali. Zastrzelili wtedy ojca mojego najlepszego - bo od dzieciństwa - przyjaciela.

Okoliczności były takie, że w naszej kamienicy znaleźli się dwaj mężczyźni nie mieszkający w niej. Staszek (niżej wyjaśniam, kto to) przypuszcza, że to było głównym powodem, przyczyną, dla której Niemcy wywlekli mężczyzn z domu i później stracili. Nikt tego nie wyjaśnił, są tylko przypuszczenia. Ja tak nie uważam, o czym napiszę.

Przeżył aktualnie będący w domu jeden tylko mężczyzna, który po prostu zlekceważył te wszystkie zewnętrzne ostrzeżenia, hałasy i wezwania, pijaczyna zresztą, bo Niemcy straszyli, ze dom zaminują i jeśli ktoś nie wyjdzie, wysadzą dom, a ocalony sobie spokojnie leżał pod oknem. Ani nie zaminowali, ani nie przeszukiwali, tylko powodowani wrzaskiem, i terrorem psychicznym, ludzie wyszli przed kamienicę, a ten, o którym piszę, zresztą miał dość adekwatne nazwisko (czego nie lubię przytaczać, ale tu aż się ciśnie) powiedzmy "Łajza", położył się po prostu pod oknem w kuchni, wychodzącym na podwórko, i przeczekał całe, że się delikatnie wyrażę, zamieszanie. "Zamieszanie" Czytelnik może sobie łatwo wyobrazić w postaci takiej oto, ze wszyscy się zebraliśmy na podwórku przed domem, na samym podwórku rów w postaci próby kopania schronu, i na krawędzi tego wykopu staliśmy wszyscy - nie pomne jak długo, z rękoma w górze, ludzie z kamienicy wychodzili, mężczyzn oddzielano, płacz, wrzaski, zapewnienia Niemców, że nic się nie stanie, ot, normalka wojenno-okupacyjna.

Przeżył również mój Ojciec. Nie wiem niestety w szczegółach jak było, chodzi mi o przesył informacji - bo to są dla mnie te szczegóły - ale było tak, że w dniu wybuchu Powstania mój Ojciec wraz z dwoma czy trzema mężczyznami - okoliczności wskazują, czas po prostu, że nie mieli szans na przedostanie się do Warszawy czyli na lewy brzeg Wisły dla uczestnictwa w PW, a wiedząc, co będzie się działo, ukrywali się na sąsiednim podwórku w znanych na Śląsku - "chlewikach" - u nas się to nazywało - "komórkach". Bo konstrukcja tego była taka, że mieszkania były bez kanalizacji - to było zadupie - że mieszkańcy mieli na podwórku komórki na węgiel czy inne rzeczy, a na końcu rzędu komórek był kibel. I w sąsiedniej posesji komórki miały po prostu wybudowany stryszek. Nad kibelkiem i nad komórkami. Niewielki, nie wiem, jak

wysoki, najwyżej pół metra, ale stryszek pozwalający na to, by się w nim zmieścić, schować. Chodziliśmy do kibelka do tej sąsiedniej posesji, i przez okrągłą dziurę w suficie, jakby wywietrznikową, podawałem nawet osobiście, Ojcu i innym pożywienie. I co tu ukrywać, butelki również. W ten sposób, ukrywając się w chwili wybuchu PW, mój Ojciec przeżył.

Później, przez te dni do wyzwolenia, gdy Rosjanie po prostu zmietli wystrzałem armatnim nasza kamienice (został tylko kawałek parteru) z powierzchni ziemi podczas przygotowania artyleryjskiego, gdy już piechurzy polscy i rosyjscy byli wśród nas, chowaliśmy się także w sąsiedniej kamienicy, w piwnicach. Śpiewając codziennie przy kapliczce na podwórku pieśni religijne... I tak, w dniu wyzwolenia Pragi, zostaliśmy goli, bosi, bez dachu nad głową ani żadnego dobytku. I w tym, co mieliśmy na grzbiecie, wędrowaliśmy poprzez linie frontu (mam tu na myśli linie artylerii, która była kilka, czy kilkanaście kilometrów dalej na wschód) maszerowaliśmy całą rodzina (Ojciec, Mama, starsza siostra Krystyna i ja, na wschód, by się osiedlić od jesieni 1944 wśród rodziny Ojca. Tułaliśmy się po prostu przez ponad trzy lata, by od 1949 roku osiąść niemal na stale w wynajętym mieszkaniu w podwarszawskim Sulejówku.

Ja nie miałem żadnych heroicznych czynów na koncie poza oczywiście tym, że przeżyłem i pamiętam ten czas, psychozę ulicznych łapanek i rozstrzeliwań, tablice upamiętniające później śmierć, bo nawet na krańcowym przystanku tramwaju, z którego już piechotką szliśmy do domu, było takie miejsce. Dziś już tramwaj nie ma tam pętli, została na sąsiedniej ulicy, równoległej Kawęczyńskiej, gdzie jest Bazylika Praska. :-) Głodzia. :-)))

Oprócz tego miejsca rozstrzelania mężczyzn wywleczonych z naszej kamienicy, Czytelnik zobaczy tez zdjęcie rozstrzelania w tym samym dniu, ale w sąsiedztwie, miedzy uliczkami naszą, a tą, która w opisie wyżej była wspomniana jako miejsce tej komórki, sąsiedniej posesji, niemal na wprost kościoła parafialnego przy ul. Księcia Ziemowita, gdzie mnie chrzczono i miałem być ministrantem... jest też tablica upamiętniająca rozstrzelanie w dniu PW większej grupy mężczyzn.
Ciekawe o tyle, że na tej tablicy stoi już napisane, iż chodziło o Powstańców. Nie znam, niestety, szczegółów, ale być może, w dniu wybuchu PW była akcja obejmująca całą ulice, całą dzielnicę. Z tym, że naszych ojców zaprowadzono nieco dalej, z dala od widoku mieszkańców, a następnych, być może, w większym pośpiechu, rozstrzelano już w pobliżu... Ale z drugiej strony, gwoli kronikarskiej uczciwości, to Ojca Staszka i Mietka nie upamiętniono tą samą treścią. Czyli na samych tablicach jest rozróżnienie na powstańców i innych.

Bo trzeba chyba tu dodać dla porządku, że w sąsiedztwie, tuz za kościołem, była szkoła, zajęta przez Niemców dla wojska.
My chodziliśmy do szkoły, (Mietek i ja do I klasy, Staszek, którego wizyta stanowi osnowę niniejszego opisu, do klasy II) w dalszym sąsiedztwie, w dalszej dzielnicy, na Utracie. Szkoła, do której należeliśmy, nie działała podczas okupacji właśnie z tego względu, że chyba to był budynek nadający się świetnie na koszary wojskowe, murowany, bodaj dwupiętrowy, obszerny.

I to jest inspiracją do tezy, że rozstrzelanie Staszka i Mietka Ojca nie było czymś niezwykłym tego dnia, to musiała być celowa akcja mordowania wszystkich mężczyzn, potencjalnych czy faktycznych Powstańców.

Na marginesie tej opowieści wspomnę o losie zwłok ojca moich przyjaciół. Otóż po rozstrzelaniu na tej skarpie kolejowej, Staszek wraz z innymi (Staszek jest starszy ode mnie trzy lata, zatem miał wówczas 10 lat) grzebał ojca pod płotem kościoła - sam kościół był naprzeciw naszej kamienicy, dosłownie. Wyobraź sobie Czytelniku, że proboszcz nie chciał się zgodzić na tymczasowy pochówek wrzeszcząc, że on nie pozwoli na grzebanie komunistów (sic!) "u siebie". Ale też wiele nie mógł pokrzyczeć, będąc w zasadzie samotny, bo przecież żołnierze niemieccy nie chronili durnia. No i tak pochował Staszek swego Ojca w wygrzebanym własnoręcznie pod płotem kościoła, dole. Później, po kilku miesiącach, przenieśli zwłoki na cmentarz bródnowski, a w dalszej kolejności, znaleźli na tym cmentarzu miejsce stałe... W sumie, zwłoki Ich ojca przemieszczali dwa bądź trzy razy, szczegółów nie znam zbyt dokładnie. Trudno jednak wyobrazić sobie to sku***two, ten serwilizm polskiego księdza, który dla przypodobania się władzom okupacyjnym próbował nie pozwalać na tymczasowy pochowek ze względów politycznych!
I ostatni przyczynek, makabryczno-zabawny. Staszek jest synem Stanisława. Dawniej była moda na sygnety. I ojciec tych moich przyjaciół z dzieciństwa też miał taki sygnet. Z napisem "SB" czyli Stanisław Biegaj. Staszek mi opowiadał, że chciał podczas tej ekshumacji spod płotu kościelnego ściągnąć Ojcu pierścionek z tym wyrytym znakiem. jedyną pamiątkę po Nim... Został mu w reku palec z pierścionkiem, który wrzucił do grobu razem z Ojcem.

Losy życia rozdzieliły nas wtedy, jakkolwiek po dwu czy trzech powojennych latach, spotykałem się przez kilka następnych lat z moim rówieśnikiem, młodszym bratem Staszka - Mieczysławem, to losy nas rozdzieliły całkowicie. Ja przez prawie pół wieku, do dziś, mieszkam na Śląsku, Stanisław pełnił służbę wojskową na Pomorzu, by przejść na emeryturę w stopniu pułkownika. Nie widzieliśmy się przez pół wieku... Przed kilku laty, robiąc niejako remanent życia, chciałem odnaleźć moich przyjaciół, z którymi nie miałem kontaktu tyle dziesiątków lat. Zacząłem wertować książkę telefoniczną Warszawy (dziś to byłoby zgoła niemożliwe, konia z rzędem temu, kto widział książkę telefoniczną abonentów prywatnych...), znalazłem w Warszawie kilku abonentów noszących nazwisko Biegaj. Żaden z nich nie miał na imię Stanisław bądź Mieczysław. Nic to, zacząłem obdzwaniać. Za którymś połączeniem, po moich mętnych przedstawieniach się i tłumaczeniach, kto, skąd i po co, miła pani zawołała: "Staszek, telefon do Ciebie". Bingo! Owocem tej rozmowy było nasze spotkanie. Niestety, już tylko ze Staszkiem, gdyż mój rówieśnik, Mietek, od paru lat nie żyje, nie dając rady najgorszej z chorób dzisiejszych czasów...

Spotkanie po latach

Staszek z kolei ***odwiedził mnie w dniu moich 70. urodzin*** , więc cóż Mu miałem pokazać na Śląsku, jeśli nie kopalnie? :-)

Skarby w swym wnętrzu ziemia kryje:
Srebro i węgiel ma w pokładach,
Ropa z jej trzewi jak krew bije -
Oddaje wiele z tego co posiada.

Do grona muzeów w Polsce dołączają obiekty dawnego przemysłu, już nie tylko jako eksponaty produktów, jak samochody, Lanzbuldogi z Ursusa czy armaty na kamienie, ale także jako całe obiekty przemysłowe. Na Śląsku do takich obiektów zaliczyć należy kopalnie.

Dwie z nich są udostępnione turystom w charakterze specjalistycznego muzeum: kopalnia srebra w Tarnowskich Górach i kopalnia węgla kamiennego w Zabrzu.

Kopalnia srebra

Kopalnia węgla kamiennego

Przyznam szczerze, że ta pierwsza, stara kopalnia kruszcu w Tarnowskich Górach najpełniej chyba oddaje trud pracy górniczej. Przedstawione zdjęcia dość słabo to oddają, trzeba to widzieć własnym okiem, te częstokroć półmetrowej wysokości wyrobiska, w których górnik na kolanach bądź leżąc, wyrąbywał cenny kruszec zarabiając mniej niż organista w kościele...
Kopalnia "Guido" w Zabrzu jest nowsza o kilka dziesiątków lat, stąd i warunki pracy górnika były już porównywalnie, nieco lżejsze. Oglądamy na poziomie 170 metrów warunki, w jakich wydobywano węgiel na przełomie XIX i XX wieku.

Zwiedzający, tak w jednej jak i w drugiej kopalni, muszą chodzić w kaskach, co przydaje się szczególnie w tej starszej kopalni, gdy wielokrotnie uderzałem głową w strop, niekiedy dość mocno, zbyt mało się schylając. W kopalni "Guido" dodatkowo jesteśmy wyposażeni w lampki górnicze i pochłaniacze.

A za rok, zwiedzający kopalnie "Guido" będą mogli zjechać na poziom 320 metrów, i tam, być może - jak się rozmarzył oprowadzający nas dyrektor kopalni, Eugeniusz Kontnowski: "w jednej ze znajdujących się tam komór otworzymy restaurację i salę koncertową".

Chętni mogą obejrzeć 4. minutowy film, wyemitowany w telewizji TVN-meteo, w którym przewodnik opowiada o pracy koni i górników pod ziemią, na przykładzie kopalni Guido.

Tu natomiast dwa krótkie ujęcia filmowe z naszego zwiedzania kopalni Guido.